

ROZDZIAŁ IV

- Hej, chłopie gdzie się podziewasz? Dzwonię już trzeci raz i bez przerwy zgłasza się tylko poczta głosowa – w słuchawce niewyraźnie bulgotał głos trochę podenerwowanego Meryla.

- No, słucham cię – Drożdż prawie krzyczał do mikrofonu słuchawki, tak, jakby był przekonany, że im głośniej będzie mówić, tym lepiej będzie to dla Meryla słyszalne i zrozumiałe.

- Jestem w górach i stąd chyba taka kiepska słyszalność, coś bez przerwy przerywa i nie bardzo cię rozumiem.

- Gdzie jesteś? – nerwowo dopytywał się Meryl.

- W górach, niedaleko Wałbrzycha, zrobiłem sobie wycieczkę.

- A gdzie ty koło Wałbrzycha jakieś góry masz?– usłyszał pośród trzasków zdziwiony głos Meryla.

- Jestem w Zagórze Śląskim i tu takie niewielkie góry są, chyba od dosyć dawna – pozwolił sobie zażartować z niewiedzy szefa. Jestem akurat na samym prawie szczycie. Myślę, że jak podejść wyżej to powinno być lepiej ze słyszalnością. Zaraz do ciebie oddzwonię – zakończył rozmowę, po wyraźnej akceptacji Meryla.

- Dobrze, że tego nikt nie widzi – mruknął ni to do siebie, ni do towarzyszącej mu Rozalii Panda, ponieważ zdał sobie sprawę z tego, że śmiesznie chyba wygląda facet, który stoi w lesie na środku błotnistej, pożłobionej wodą, ścieżki pełnej większych i mniejszych ostrych kamieni i wydziera się na cały głos.

- Musiało się coś mocnego wydarzyć, że Meryl w niedzielę wydzwania. Ani chybi jakiś trup – skomentował głośniej fakt tej rozmowy, spoglądając ze złością na swą towarzyszkę.

Nie miał wątpliwości, że ten telefon od Meryla zapowiadał kolejne zabójstwo, albo grubszy napad z użyciem broni palnej, bo w przypadku innego zdarzenia, raczej by do niego nie dzwonił. Popędzany rosnącym zaciekawieniem zaczął intensywniej wspinać się na widoczny już szczyt góry.

Od rana miał przecucie, że coś się wydarzy, coś, co zburzy mu zwykły rytm wolnego od pracy dnia. I nie pomylił się.

Już gdzieś około dziesiątej rano zadzwoniła jego stara znajoma Bronka Golec ze Szczawna Zdroju, z którą przed laty pracował w fabryce o nazwie "Huta Karol", która po 1945 roku, nigdy hutą nie była. Nazwa ta, jako znak firmowy znany na całym świecie, utrzymała się po poprzednich niemieckich właścicielach. Przez wiele lat fabryka ta – poza kopalniami węgla – była jednym z największych i najbardziej prestiżowych zakładów produkcyjnych w mieście. Trafił tam z nakazu pracy, jaki w latach siedemdziesiątych XX wieku obowiązywał absolwentów Wydziału Prawa wszystkich polskich wyższych uczelni. Ponieważ jako absolwent sam sobie zatrudnienia nie

znalazł, pełnomocnik do spraw zatrudnienia absolwentów wystawił mu skierowanie do wałbrzyskiej „Huty Karol”, gdzie musiał przepracować, co najmniej, trzy lata. I w taki oto sposób zmuszony został do opuszczenia swojego rodzinnego Wrocławia, by niespodziewanie dla siebie, z nakazem zatrudnienia w kieszeni, pojawić się w tym wiecznie przykrytym węglowym pyłem górniczym mieście.

Bronka dzwoniła w sprawie swej córki, Rozalii, która według niej, znów „poszła w tango”, co się jej coraz częściej przytrafiało. Poznał ją przed laty, gdy miała 16 lat i zaczęły się jej niepowroty do domu, które niekiedy trwały po dwa, a nawet trzy dni. Bliższe kontakty z dziewczyną nawiązał kilka lat później, kiedy dwudziestoczteroletnia Rozalia, na którą wszyscy od dziecka wołali – nie wiadomo z jakiego powodu - Bazylią, wdała się przez przypadek w tak zwane nieodpowiednie towarzystwo, związane z jednym ze znanych wałbrzyskich handlarzy narkotyków. Na szczęście nie była w to zbyt mocno zaangażowana i udało mu się ją ze sprawy wyprowadzić, ale jak to zwykle w wydziale kryminalnym, nic nie było za darmo. Po niezbyt długiej rozmowie, popartej argumentacją „nie do odrzucenia” w rodzaju „albo ... albo”, Bazylią wyraziła zgodę na współpracę, w charakterze jego informatorki, której zadaniem było zbieranie informacji na temat handlu narkotykami. Rzecz jasna, Bronka o niczym nie wiedziała, ale po jakimś czasie zorientowała się, że córka dosyć często, jak dla niej zbyt często, spotyka się z facetem starszym od niej o kilkanaście lat. Gdy się spytała go o charakter tych spotkań, wytłumaczył to problemami Bazylii, z jakimi zwróciła się do niego, w sprawie jej męża, Bartka Pandy, który po pijanemu gdzieś tam narozrabiał. Faktycznie, pomagał jej wtedy w wyprostowaniu kilku historii związanych z wybrykami tego człowieka, bo znakomicie kamuflowały faktyczne powody ich kontaktów. Poza tym, tak się złożyło, że dosyć dobrze znał jego rodziców, z którymi się zetknął podczas realizacji sprawy jednego z napadów rabunkowych.

O udział w napadzie podejrzewany był bliźniaczy brat Bartka, o imieniu Robert, ale dzięki dokładnym ustaleniom, udało mu się szybko wykluczyć chłopaka z kręgów podejrzewanych, czym zaskarbił sobie wdzięczność całej jego rodziny, w tym również Bazylii. Podejrzewał wtedy przez jakiś czas, że łączyło ją z Robertem coś więcej niż tylko stosunki rodzinne, czemu ona bardzo gwałtownie zaprzeczała. Jak na jego policyjny nos, za bardzo. Tematu nie drażył, bo nie miał w tym jeszcze żadnego interesu. Po dwóch latach od tamtych wydarzeń, Bazylią porzuciła męża i wróciła z dwójką dzieci do domu rodziców, po drodze zaliczając dosyć krótki związek z jej kolejnym nowym przyjacielem. Nie trwało to zbyt długo, bo zginął zasypany w jednym z licznych tu biedaszybów, gdzie byli wałbrzyscy górnicy nielegalnie kopali węgiel. Dla wielu z nich była to jedyna możliwość uzyskania jakichkolwiek pieniędzy niezbędnych do utrzymania rodziny. I takim kopaczem był ten młody jeszcze mężczyzna, mający na utrzymaniu żonę i czworo dzieci, który z uwagi na intensywny romans z Bazylią, zdecydował się porzucić rodzinę i na stałe związać się z nową

przyjaciółką. Nic z tego nie wyszło z uwagi na to, tragiczne dla niego, wydarzenie. Prawdopodobnie nie wiedział, że w czasie jego zauroczenia, Bazylia miała kilka przelotnych seksualnych romansów, które jej się jakoś tak mimochodem – jak to później tłumaczyła - przydarzyły. Nie przywiązywała do nich większej uwagi, traktując je, jako kolejne przygody swego życia, nie mające dla niej żadnego znaczenia, ani też wpływu na jej życiowe plany.

Podczas tej porannej telefonicznej rozmowy, mocno zdenerwowana Bronka poinformowała go, że jej kochana córeczka, pozostawiając u niej swoje dzieci, wybyła z domu na trzy dni i akurat teraz raczyła wrócić. Nie jest pijana, ale wszystko wskazuje, że prawdopodobnie mocno jest nabuzowana jakimś świństwem i nie może z nią dojść do porozumienia. Prosi go więc, aby natychmiast przyjechał i z nią porozmawiał, a zwłaszcza dowiedział się gdzie była i czym się tak zaprawiła.

Po wysłuchaniu tyrady Bronki, zaczął podejrzewać, że stan Bazylii może być efektem ich niedawnej rozmowy, podczas której miał pretensje, że w zasadzie jaja sobie z niego robi i to, o czym mu opowiada, to chłam zwykły, a nie konkretne informacje. Przestrzegł ją wtedy, że jeżeli dalej ich współpraca będzie tak wyglądać, to szybko ulegnie zakończeniu, bo jego rozliczają nie z ilości spotkań, tylko z jakości przekazywanych mu informacji. Musi więc zdawać sobie sprawę, że w momencie zerwania współpracy, wszelka ewentualna ochrona nie wchodzi już w rachubę i gdy ponownie coś nawywija, to może liczyć już tylko na siebie. Słuchała go wtedy niby bardzo uważnie, jednak był całkowicie pewny, że nie brała tego do siebie. Jak zwykle liczyła, że tak, jak inni faceci i on uległ jej niewątpliwemu czarowi, co poniekąd było prawdą, aczkolwiek starał się tego jej nie okazywać.

Bazylia, chociaż raczej niskiego wzrostu, była atrakcyjną kobietą o wielkich oczach, którymi potrafiła przykuć wzrok każdego faceta, co przy proporcjonalnej budowie ciała i doskonałej linii nóg, tworzyło całość, której jedynie najbardziej odporni na kobiecy urok mężczyźni zdolni byli się skutecznie oprzeć. Obrazu dopełniała, prawie zawsze rozwichrzona, gęsta czupryna jasnobłond, sięgających do ramion, gęstych włosów. Jej również istotnym dla Drożdża atutem była niesamowicie skuteczna zdolność do błyskawicznego nawiązania kontaktu z każdym mężczyzną, na którego sama zwróciła uwagę, albo który takie zainteresowanie wobec niej okazał. Niewątpliwie wielkie znaczenie dla szybkości nawiązywania kontaktów odgrywały bardzo widoczne atrybuty jej cielesności, które w połączeniu z jej całkowitą bezpruderyjnością, dawało za każdym razem niezaprzeczalną przewagę nad obiektem jej zainteresowania, już w pierwszych chwilach każdej zawartej znajomości. Wielokrotnie zastanawiał się, czy przypadkiem nie ma do czynienia ze zwykłą nimfomanką, która zdając sobie sprawę z tej przypadłości, czasami stara się to jakoś przed otoczeniem ukryć. Mówiąc prosto, to był przekonany, że te jego podejrzenia miały mocne uzasadnienie w jej zachowaniu się w stosunku do nowo poznanych mężczyzn, którzy praktycznie z miejsca stawali się obiektami jej

intensywnego zainteresowania, z nigdy nieukrywanym silnym i rzucającym się w oczy erotycznym podtekstem. Kiedyś, w szczerej rozmowie, przyznała mu się, że gdy miała jedenaście lat, była molestowana przez swojego wujka, którego szczególnie podniecały jej, już wtedy zarysowany biust. I to właśnie to molestowanie na zawsze pozostawiło szczerbę w jej osobowości, która przejawiała się nadmiernym seksualizmem i pociąganiem do starszych od niej mężczyzn, zwłaszcza typu „słodki brutal”, którym ulegała przy pierwszej nadarzającej się okazji.

To właśnie te cechy jej charakteru i osobowości, w sposób szczególny zaważyły na jego decyzji, o pozyskaniu jej do współpracy w charakterze tajnej informatorki przy rozpracowywaniu wałbrzyskiego środowiska przestępczego, a zwłaszcza handlarzy narkotyków. Była w tym zakresie doskonałym materiałem do takiego wykorzystania, właśnie z powodu braku oporu w nawiązywaniu intymnych kontaktów damsko-męskich, które z założenia miały stanowić gwarancje jej ewentualnych sukcesów na tym polu. Jej nad wyraz widoczna seksualność, bijąca z każdego ruchu ciała, pozwalała mu mieć pewność, że wskazany jej obiekt migiem owinie sobie wokół palca. Trzeba było tylko odpowiednio ją przeszkolić, co czynił powoli przez dłuższy czas, obserwując, jak sobie poczyną w środowisku, do którego, przy pomocy zaufanych osób – nie zawsze zdających sobie z tego sprawę – wprowadzał. Pod koniec tego szczególnego w swoim rodzaju szkolenia, wskazał jej osobę, z którą miała samodzielnie nawiązać kontakt, a następnie doprowadzić do uległości w stopniu umożliwiającym sterowanie jego postępowaniem. Z zadania wywiązała się błyskawicznie, osiągając zamierzony cel, a ofiara jego eksperymentu była gotowa zerwać wszelkie rodzinne więzy, aby tylko Bazyli zechciała z nim zostać. Mówiąc prawdę, trochę przestraszył się konsekwencji tej swojej manipulacji i szybko doprowadził do zerwania coraz bardziej gorącej znajomości, odgrywając rolę zazdrosnego i agresywnego przyjaciela.

Aktualnie głównym zadaniem Bazyli, jakie jej przydzielił, było nawiązanie bliższego kontaktu z jednym z podrzędnych wałbrzyskich dilerów narkotyków i pozyskanie jego zaufania. Diler ów, w jego planach, miał spełnić rolę bezwolnego konia, na którym w to środowisko miała wjechać, wykorzystując również fakt, iż wcześniej wśród tego typu ludzi, jakieś kontakty już posiadała.

Telefoniczna rozmowa z Bronką wywołała w nim obawę, a właściwie przekonanie, że przyczynę jej trzydniowej nieobecności, jak i stan w jakim do domu powróciła, należy tłumaczyć znajomością z tym właśnie człowiekiem. Dlatego też, pod byle jakim pretekstem rzuconym Magdzie już przy samych drzwiach mieszkania, pojechał do Bronki mieszkającej w Szczawnie Zdroju, aby z Bazylią porozmawiać i ustalić co się z nią działo i co z tego on będzie miał. Gdy przybył na miejsce, okazało się, że trafił w środek potężnej awantury, a rozhisteryzowana Bronka zaczęła wyrzucać z domu nie tylko Bazylię, ale jej dzieci, spoglądające na ten cyrk z przerażeniem w oczach. Stan fizyczny i psychiczny, w jakim się znajdowała Bazyli, a także obecność jej

rodziców, nie pozwalała na spokojną rozmowę, więc zaproponował im, że wywiezie Bazylię gdzieś poza Szczawno, trochę po polach przegoni, aby jej to świństwo wywietrzało i że ją do domu za jakiś czas przywiezie. Bronka, mocno zdenerwowana, zaczęła wyrzucać z szafy ubrania Bazyli i dzieciaków, w czym jej mocno przeszkadzał, również mocno podenerwowany, mąż. Widząc, co się dzieje, wykorzystując istniejące zamieszanie, wyprowadził ją z domu i wsadził do samochodu. Postanowił pojechać do nieodległego Zagórza Śląskiego, gdzie miał zamiar zmusić ją do pokonania kilku niezbyt stromych wzgórz, znajdujących się w masywie otaczającym zagórzańskie sztuczne jezioro, z wielką poniemiecką tamą, spiętrzającą wody rzeki Bystrzyca. Liczył na to, że wysiłek fizyczny spowoduje szybki powrót do względnie normalnego stanu psychicznego, zezwalającego na przeprowadzenie konkretnej rozmowy.

Szybko się przekonał, że Bazyli nie wykazywała specjalnej ochoty, aby na temat ostatnich trzech dni z nim rozmawiać, co raczej wydawało mu się dosyć dziwne, ale wobec jego stanowczych nalegań, z coraz mniejszymi oporami opowiedziała mu, co się stało. Okazało się, że nie miało to żadnego związku z ich sprawami, bo było efektem tych jej nimfomańskiej skłonności do wpadania w kolejne erotyczne przygody. Stało się tak, że w czwartek pod wieczór, pod pretekstem odwiedzin chorej przyjaciółki Teresy, udała się do „Piwnicy”, czyli jednego z bardziej popularnych w Wałbrzychu pubów, mieszczącego się w podziemiach byłej fabryki octu i musztardy na ul. Niskiej. W lokalu tym spotykały się w zasadzie grupy obojga płci nastolatków i starszej młodzieży, raczących się piwem i innymi alkoholowymi napojami, które obsługa serwowała obficie i bez nachalnej potrzeby zaglądania do dowodów osobistych. Obecność młodych, a podchmielonych zazwyczaj pańienek, przyciągała też panów w wieku kiedy czas zaczyna upływać coraz szybciej, którzy po dwóch, trzech, przesiadywali zazwyczaj w najbardziej zaciemnionej części lokalu. Taka lokalizacja pozwalała na spokojną obserwację i wybór najbardziej skłonnych do zawarcia szybkiej znajomości dziewczyn. Znajomości kończącej się zazwyczaj bardzo szybko na tylnej kanapie samochodu, lub w znajdującym się tuż obok czymś w rodzaju hotelu, którego właściciel bez większych ceregieli wynajmował pokoje na godziny. Była to stara, mocno zaniedbana, czteropiętrowa kamienica wchodząca kiedyś w skład sporej wielkości zabudowań fabrycznych, mieszcząca kilkanaście jednopokojowych lokali, które można było wynająć za 40 zł na dobę. Na każdym piętrze znajdowały się dwa takie pokoje, wyposażone w szafę, stół, cztery krzesła i dwa stare tapczany. Ubikacje z małą umywalką umiejscowione były na klatce schodowej, w pomieszczeniach odgradzonych od niej pilśniowymi płytami. Pokój można było wynająć płacąc właścicielowi z góry, po czym właściciel wręczał klucze do bramy głównej oraz pokoju i dalej już niczym się nie interesował. Największą zaletą dla osób chcących zachować daleko idącą dyskrecję było to, że po godz. 18:00 w obiekcie nie było żadnego dozoru, a więc gwarancja ukrycia tożsamości osób tam wchodzących, była praktycznie całkowita. Ważne dla chętnych

było również i to, że korzystający z pokoju nie byli objęci jakąkolwiek ewidencją. Oczywiście, wynajmujący pokój musiał pozostawić u właściciela swój dowód osobisty, na wypadek konieczności pokrycia ewentualnych uszkodzeń, dokonanych w trakcie korzystania z tego przybytku. Dowód za każdym razem był zwracany, po sprawdzeniu, czy w wyniku korzystania z pomieszczeń, nie zostały one w jakiś sposób zniszczone. Jednakże osoby, które z właścicielem nawiązały bardziej zażyłe stosunki towarzyskie, takiej procedury nie musiały przechodzić, a byli i tacy, którzy klucz do pokoju posiadali na stałe, wpłacając raz w miesiącu z góry ustaloną kwotę. Z takiej też możliwości korzystał Drożdż, z tym, że za na stałe wynajętym pokojem na pierwszym piętrze nie musiał właścicielowi płacić. Było to efektem pomocy, jakiej w trudnej sytuacji człowiekowi temu pomógł na tyle skutecznie, że odzyskał on prawną możliwość wyegzekwowania sporej ilości pieniędzy, które jego były wspólnik nie miał zamiaru mu zwrócić. Tak więc pokój ten wykorzystywał do niektórych spotkań ze swoją agenturą, nie rejestrując go jednak jako lokalu operacyjnego. Tak się bowiem umówił z właścicielem i słowa musiał dotrzymać. O lokalu tym wiedziało tylko dwóch jego najbardziej zaufanych współpracowników, którym od czasu do czasu udostępniał klucze. Nie pytał w jakim celu z niego korzystają, a oni ze swej strony nie interesowali się tym, co on sam tam porabiał. Był to więc bardzo stabilny układ, dający zarówno jemu, jak i tym dwóm jego kolegom, sporo korzyści. Warunek był jeden, czyli pełna dyskrecja, uniemożliwiająca dekonspirację tego swoistego lokalu kontaktowego.

Obiekt ten miał jeszcze jedną zaletę, polegającą na skutecznym zapewnieniu anonimowości osób, które w tym miejscu niekoniecznie chciały się światu pokazać. Wynikało to z jego usytuowania w kompleksie pofabrycznych pustostanów, otaczających go ze wszystkich prawie stron, przez co powstała swego rodzaju enklawa, odcięta od ciekawskich czy wałbrzyskich stróżów prawa i strażników miejskich. Zapuszczali się tam niekiedy ponieważ funkcjonujący w tym samym miejscu pub, jak magnes przyciągał, również i z tego powodu, handlarzy trawką, amfetaminą i innym tego rodzaju badziewiem.

Właśnie w „Piwnicy” Bazylija umówiła się z facetem o imieniu Grzesiek, którego poznała niedawno w kawiarni „Kryształowa” na Piaskowej Górze, podczas dyskoteki, na której bawiła się razem z Teresą. Już w czasie tej dyskoteki zaliczyła z Grześkiem szybki numerek w męskiej ubikacji, po którym on zaproponował jej kolejne spotkanie w tym lokalu. Na spotkanie przyszedł ze swoim kumplem o ksywie „Pająk”, wysokim i chudym chłopakiem o mocno niechlujnym wyglądzie, w wieku około 25 lat. Po kilku godzinach rozmowy przy piwie, podczas których nowi przyjaciele byli nad wyraz uprzejmi i zabawiali ją dowcipną rozmową, padła propozycja, aby przenieść się do mieszkania kumpla „Pajaka”, do którego mieli klucze. Mieli tam kontynuować zabawę w bardziej kameralnych warunkach. Bazylija z ochotą przystała na propozycję, ponieważ śniady jak Cygan Grzesiek, o kruczoczarnych gęstych włosach, bardzo się jej spodobał już od

pierwszego spotkania. A w takich momentach zazwyczaj z miejsca traciła zdolność do trzeźwej oceny sytuacji. Nic dziwnego zatem, że już po kilkunastu minutach znaleźli się w tym mieszkaniu, na pierwszym piętrze budynku w jednej z pierzei wałbrzyskiego Rynku. W trzypokojowym mieszkaniu z dużą i widną kuchnią, i taką samą łazienką wyposażoną w wannę oraz kabinę prysznicową, przebywała już dziewczyna, na którą wołali „Ruda”. Początkowo było bardzo fajnie, pili, tańczyli i rozmawiali o jakichś bzdetach. W pewnym momencie Grzesiek gdzieś zadzwonił i po krótkim czasie jakiś taksówkarz przywiózł im amfetaminę, po zażyciu której zabawa nabrała tempa, przemieniając się w seksualną orgietkę, podczas której tworzyli najbardziej przedziwne układy i wymyślali pozycje, które zapewne reżyserom podrzędnych pornosów nigdy by do głowy nie przyszły. Zabawa, kto, kogo i jak, z przerwami na spanie, spożywanie alkoholu, paleniu trawki oraz wciąganiu kolejnych kresek, trwała aż do soboty. Przez pierwszą noc i następny dzień temu szaleństwu oddawała się całkowicie dobrowolnie, bo bardzo się to jej wszystko podobało. Ponieważ nie piła alkoholu, znajdowała się jedynie pod działaniem narkotyków, co wyzwalało pełen luz w zachowaniu, ale nie wyłączało zdolności rozumienia tego, co się wokół niej i z nią samą dzieje. Gdy w piątek wieczorem chciała już iść do domu, spotkała się z zdecydowaną odmową, a drzwi na klatkę schodową zostały zamknięte na klucz. Gdy mimo wszystko kilkakrotnie usiłowała wyjść z mieszkania, za każdym razem była brutalnie przywoływana do porządku i regularnie gwałcona na przemian przez obydwóch mężczyzn. Wszystkiemu temu ze stoickim spokojem przyglądała się „Ruda”, która od czasu do czasu przyłączała się do swych kolegów i wymuszała na Bazylii lesbijską miłość, co panowie przyjmowali z aplauzem i wielkim podnieceniem zaspokajającym manualnie. Wreszcie chyba się im znudziła, bo w niedzielę rano zdecydowali się wypuścić ją do domu. Jakoś się ogarnęła i dotarła, przemykając pod ścianami budynków, na ul. Wysockiego, skąd miała autobus do Szczawna Zdroju. Miała szczęście, że jej nikt nie widział, ponieważ, jak zwykle o tej porze, ulice Wałbrzycha świeciły kompletną pustką. Przed wyjściem z mieszkania, nowi jej znajomi dali wyraźnie do zrozumienia, aby się tym, co ją spotkało, specjalnie nie chwaliła, bo oni znają jej adres zamieszkania z dowodu osobistego, który nieopatrznie zabrała ze sobą. Żałowała, że nie wzięła do serca jego napomnień, aby w sytuacjach kontaktu z nieznanymi wcześniej osobami, nie zabierała ze sobą jakichkolwiek dokumentów tożsamości. Ale przecież Grześka już знаła, a był taki szarmancki i słodki, o czym przekonała się w czasie namiętnego szaleństwa w męskiej ubikacji kawiarni „Kolorowa”.

Pokonując stromy i zalesiony stok, słuchał jej spokojnej i szczegółowej relacji, pozbawionej jakichkolwiek emocji. Od dawna zauważył, że Bazylika nie odczuwała przed nim żadnego zawstydzienia i zawsze bardzo dokładnie relacjonowała mu wszystko, co się z nią działo, kiedy starała się wypełnić postawione jej zadania. Relacje ze spotkań,

jakie odbywała, szpikowała pikantnymi szczegółami, które dla prowadzonych przez niego spraw nie miały żadnego znaczenia. Podejrzewał, że czyniła to celowo, zwłaszcza wtedy, kiedy starała się jakby w ten sposób zrekompensować mu brak istotnych dla niego informacji. Nie wykluczał również, że jej to po prostu sprawiało jakąś szczególną przyjemność. Kilka razy próbował ją przyhamować, ale i tak po jakimś czasie wracała do tych szczegółów, jakby inaczej nie potrafiła zrelacjonować tego, w czym uczestniczyła i co miała zaobserwować.

Jednakże tak beznamiętna relacja o zdarzeniach, które przecież nie odnosiły się do zwykłego pójścia do łóżka na w miarę normalny seks, mimo wszystko zaskoczyła go. Zdał sobie sprawę, że dziewczyna ma chyba naprawdę jakiś defekt psychiczny, z którym nie potrafi sobie poradzić, powodujący wyłączenie naturalnych, jak mu się zdawało, hamulców moralnych. Wyczuwał, że to, co się jej przydarzyło, nie wzbudziło w niej jakiegokolwiek refleksji. Po prostu, otrzepała się, jak suka, która po wyjściu z wody gwałtownymi ruchami zrzuca z siebie jej resztki. Tak i ona, niemiłe dla niej fragmenty wspomnień, zrzuciła z siebie, jak krople wody z psiej sierści.

Po kilkunastu minutach wdrapali się na wierzchołek wzgórza, gdzie od razu zauważył sporej wielkości kamień i oparty o niego pień dużego drzewa, obalonego zapewne przez silne wiatry, jakie w tych okolicach często wiały. Przysiadł się na pniu i wystukał numer telefonu. Tym razem głos Meryla był wyraźny i dobrze słyszalny.

- Zygmunt, słuchaj, masz u siebie trupa. Młoda dziewczyna znaleziona w lesie, gdzieś blisko miejsca gdzie mieszkasz. Prawdopodobnie zabójstwo na tle seksualnym, bo jest roznegliżowana. Rodzice w nocy zgłosili zaginięcie i teraz, gdzieś półtora godziny temu znaleziono zwłoki - Meryl w zwięzłych słowach przedstawił mu sytuację, nie wdając się w zbytne szczegóły, których i tak zapewne nie znał do końca.

- Rozumiem, zaraz schodzę na dół, ale na miejsce dojadę za jakąś czterdzieści minut, bo trochę kilometrów będę musiał przejechać – spojrzał na zegarek, aby ustalić przynajmniej przybliżoną godzinę przybycia na Podzamcze. Od razu przyszła mu do głowy myśl, że kolejnym już razem przyjdzie im tyrać w niedzielę, a na dodatkowy dzień wolny nie będą mogli liczyć chociaż dni takich nazbierało się im już sporo. Bo taka była normalna taktyka Meryla.

- Czy ktoś z wydziału przyjedzie, czy jak zwykle? – zapytał, wiedząc z góry, że na to, aby ktokolwiek z Wrocławia przyjechał w niedzielę do Wałbrzycha, są raczej marne widoki.

- Nie, nikt nie przyjedzie, bo myślę, że dacie sobie radę, ale jakby co, to dzwoń, -zdecydowanie skwitował pytanie Meryla.

- I słuchaj. Wyślij tam swoich chłopaków, a sam postaraj się jak najprędzej dojechać. Zorientuj się, co i jak i szybko daj mi znać, jak sprawa wygląda. Aha – Meryl na chwilę zawiesił głos – tam jest już ekipa z miejskiej. Dowodzi Holender, więc się z nim kontaktuj i za mocno się mu nie wcinaj. Masz tylko się zorientować i udzielić im pomocy. Nie chcę znowu wysłuchiwać skarg, że się wtrącasz i coś tam mieszasz.

- A to ci psi chuj – skomentował w myślach decyzję Meryla, ustawiając go wyłącznie w roli pomagiera zastępcy komendanta miejskiego w Wałbrzychu. Samemu Holendrowi, który na pewno zwrócił się o to do Meryla, się nie dziwił, bo był przekonany, że z góry zakłada on szybkie wykrycie sprawcy zabójstwa, a więc osiągnięcie sukcesu, którym mógłby się pochwalić przed powrotem Żelaźnika z urlopu. Sam by tak postąpił będąc na jego miejscu, przy założeniu, że sprawa jest banalnie prosta. Jednakże Meryl – rozważał w myślach pełen złości - nie po to kierował wydziałem w komendzie wojewódzkiej, aby pozwalać na deprecjonowanie podległych mu oficerów, poprzez umniejszanie ich roli i znaczenia. I to go najbardziej w postępowaniu przełożonego irytowało, tym bardziej, że doskonale wiedział, czym Meryl się kierował, w taki sposób ustawiając jego rolę i pozycję w niewielkim przecież policyjnym światku Wałbrzycha.

- Zobaczmy jak się sprawa rozwinie i jak sobie poradzą – pomyślał już bez złości i postanowił, że cokolwiek by się działo, nie będzie się specjalnie w to angażować, by znów nie wywoływać niepotrzebnych starć z Żeleźnikiem i Holendrem pospołu, którzy pomni dawnych czasów nieprzychylnym okiem spoglądali na wszelki jego i jego kolegów udział w prowadzonych w Wałbrzychu sprawach. Mając to na uwadze, uznał po namyśle, że w zasadzie takie ustawienie przez Meryla służbowych relacji, będzie dla nich wygodne. Przyjadą, poobserwują, złożą informację i na tym dla nich sprawa się skończy.

Postanowił, jak najszybciej wracać do Wałbrzycha, więc nie zwlekając połączył się z Ryleckim, który, jak przypuszczał, powinien akurat przebywać na działce, gdzie spędzał cały wolny czas, jaki pozostawał mu do dyspozycji jego rodziny.

- Ty, Sierżant – żartobliwie użył popularnej ksywy Andrzeja Ryleckiego, nadanej mu jeszcze za czasów milicyjnych – jak liczysz na to, że będziesz się spokojnie wylegiwał z browarem, to się przeliczyłeś.

- A co się stało? – leniwy tembr głosu kumpla świadczył o dosyć zaangażowanej fazie nicnierobienia – chyba nie masz zamiaru mi opowiadać, że chcesz mnie czymś uszczęśliwić, co?

- Rzecz w tym, że nie tylko ciebie, ale i Bogdana również - nie dokończył, albowiem Rylecki, który z miejsca załapał, po co w niedzielne przedpołudnie do niego dzwoni, przerwał mu pytaniem, a właściwie stwierdzeniem, że zapewne kogoś znowu położono trupem.

Potwierdził domysł kolegi i poprosił, aby w miarę możliwości szybko się ogarnął i powiadomił Walewskiego, który, jak przypuszczał, powinien być w domu, ponieważ wcześniej nie zgłaszał jakiegokolwiek potrzeby wyjazdu poza Wałbrzych.

Rylecki uzyskaną wiadomością nie był szczególnie przejęty, bo długoletnia służba w policji wyrobiła w nim, jak w każdym pracującym przy sprawach kryminalnych, zdolność do natychmiastowego przystosowania się do sytuacji wymagającej natychmiastowej mobilizacji. Po latach służby zdarzenia takie były dla nich jak

przysłowiowa bułka z masłem, co pozwalało na sprawne działanie całego zespołu, niezależnie od czasu kiedy został poderwany do działań. Tak naprawdę przez cały czas z tyłu głowy mieli przeświadczenie, że w każdej minucie coś się zdarzy, i że w związku z tym muszą być przygotowani na każde takie nagłe zdarzenie. Po prostu, rutyna.

- Łap Bogdana i lećcie do miejskiej – szybko informował go w czym rzecz - mają zabójstwo dziewczyny, więc od razu kontaktuj się z Holendrem i ustal, co i jak, i włączcie się do roboty. Ja jestem teraz na jakiejś górce, koło tamy w Zagórze, to znaczy, w tej chwili schodzę z niej w kierunku tamy i zaraz będę jechał do was. Jak już będę w mieście to się odezwę i dacie mi namiary gdzie mam przyjechać. Ok?

- Ok. Mówisz i masz. A swoją drogą, to Kola ma zawsze szczęście. Jak coś się wydarzy w czasie wolnym, to on albo na zwolnieniu, albo na urlopie – Rylecki nie mógł się powstrzymać od komentarza dotyczącego kolejnego członka ich zespołu, Radosława Mazurka, który faktycznie jakieś takie miał szczęście, że z reguły omijało go uczestnictwo w pierwszych czynnościach wykonywanych przez ich zespół na miejscu licznych wydarzeń, którymi musieli się zajmować. Teraz też, akurat w poniedziałek rozpoczynał dwutygodniowy urlop i w związku z tym, wraz ze swoją nową narzeczoną, wyjechał na wczasy gdzieś nad morze. Zdaje się do Karwi.

- Andrzej, przestań smucić i zabieraj się, bo tam już chyba na nas czekają – przerwał mu bezceremonialnie, zakładając, że Rylecki zechce na ten temat wygłosić dłuższą tyradę

- Dobra, dobra, już jadę. Cześć – Rylecki mruknął pożegnanie kończąc rozmowę.

Schował telefon do kieszeni spodni i spojrzał na siedzącą obok przy drzewie Bazylię. Wiedział dobrze, że na Ryleckiego może liczyć i wszystkie jego zalecenia zostaną dokładnie wykonane, ale musiał zastanowić się, co z nią zrobić.

- Słyszałaś, co się stało – zwrócił się do dziewczyny, która z nieukrywaną ciekawością przysłuchiwała się prowadzonym przez niego rozmowom – więc teraz zawiozę cię do domu i masz sobie wszystko z matką poustawiać, zadzwoń też do Bartka, bo matka na bank narobiła rabanu w sprawie dzieci i znów będą ci chcieli je zabrać.

- Bartka mam w dupie. Niech siedzi u mamusi i dalej opowiada, jako to ze mnie kurwa jest – Bazylią nawiązała to niedawnego rozstania się z mężem, który poskarżył się matce, że żona regularnie przyprawia mu rogi. I z tego powodu wybuchła potworna awantura, po której wyprowadziła się wraz z dziećmi do Szczawna, do rodziców. Rodzice Bartka nie lubili jej ponieważ przed ślubem dowiedzieli się, że Bazylią ma syna spoza małżeńskiego związku. Nie mogli, zwłaszcza matka, wybaczyć jej tego, że ukochany synalek ożenił się, jak to zawsze mówiła, ze zwykłym kurwiszonym.

- Masz, czy nie masz, musisz to jakoś wytłumaczyć i zwał to na Sylwię, bo i tak ma u twoich starych przechłapano. Powiedz im, że trochę wypiliśmy i pojechaliśmy po pijaku do jej rodziców w Strzegomiu. Powinni to kupić, jak się trochę postarasz. Tak jak wtedy. Chyba pamiętasz?

Nawiązał do zdarzenia, jakie miało miejsce siedem lat wcześniej, kiedy dała się poderwać na ulicy dwóm starszym facetom, z którymi pojechała, starym rzęchem jednego z nich, do odległego o 27 kilometrów Strzegomia. Przez trzy dni panowie zabawiali się na zmianę z chętną do tego maolată, ale kiedy przyprowadzili swojego kolejnego kolegę, trochę się przeraziła i uciekła. Z mieszkania rodziców Sylwii zadzwoniła do matki i opowiedziała zmyśloną na poczekaniu bajeczkę, że dzwoni z budki telefonicznej, bo była z Sylwią na baletach i nie ma pieniędzy na powrót, a Sylwia się gdzieś zapodziała. I tak jak teraz, Bronka zadzwoniła do niego o pomoc, więc pojechał po nią do Strzegomia i przywiózł do domu. Po drodze pomógł jej opracować odpowiednią legendę, aby rodzice uwierzyli jej bez większych oporów. Obydwu mężczyzn namierzył po kilku dniach i odegrali oni istotną rolę w kilku prowadzonych przez niego sprawach.

- No i nie stawiaj się, tylko rób za skruszoną – musiał ją jakoś ustawić, aby sprawę pomyślnie zakończyć – ja później wpadnę, to pomogę ci ich udobruchać. Ok?

- Ok, dobra, tylko, że jak będzie Bartek, to awantura gotowa na cztery fajerki.

- Słuchaj, ja już na to nic nie poradzę. Nie ja ci kazałem się w to gównu pakować i w ogóle na ten temat musimy porozmawiać, bo mi jeszcze rozpieprzysz to, co z trudem udało się już powiązać.

Od pewnego czasu zaczęło go irytować jej zachowanie, które mogło zagrozić prowadzonym przez niego czynnościom. Ponadto denerwowały go coraz częstsze telefony o różnych porach dnia, a nawet w nocy, kiedy niby potrzebowała natychmiast jego pomocy. Już jakiś czas temu miał z nią na ten temat porozmawiać, a zwłaszcza po niedawnym jej kolejnym wyczynie. Zadzwoniła wtedy do niego tuż przed północą z prośbą, aby przyjechał po nią i jej dwie koleżanki na pl. Ratuszowy, bo koło budynku prokuratury siedzą sobie na ławce i nie mają za co wrócić do domu. Były na jakiejś imprezie i mają jeszcze dwie butelki wina i chętnie się z nim napiją. Chodzi o to, aby je zawiózł do mieszkania jednej z nich, gdzieś na Szczawienko, bo ona, ta koleżanka, mieszka tam sama.

Dosyć obcesowo powiedział wtedy, że nie jest taksówkarzem i odłożył słuchawkę. Jak się później okazało, zatrzymaną na ulicy taksówkę pojechały na Szczawienko, ale kiedy pod domem tej koleżanki opuszczały taksówkę, Bazylia zdecydowała, że pozostaje w niej, aby uregulować rachunek. Do mieszkania już nie przyszła, a rano Bronka dzwoniła do niego z informacją, że nie wróciła na noc do domu i czy nie wie, co się z nią dzieje, ponieważ wychodząc z mieszkania powiedziała, że idzie na spotkanie właśnie z nim.

Szybko udało mu się ustalić, która taksówka zabrała ich z placu Ratuszowego i uzyskać telefon do taksówkarza. Zadzwonił do niego, ponieważ telefon Bazylia nie odpowiadał i po poinformowaniu go, że jest oficerem policji i poprosi, aby dał telefon kobiecie z którą akurat przebywa. W pierwszej chwili facet zaczął się stawiać, ale gdy powiedział mu, że

rodzice dziewczyny zgłosili zaginięcie i że w domu pozostały małe dzieci, spuścił z tonu i dał jej słuchawkę. W czasie krótkiej rozmowy uświadomił ją, jak sprawa aktualnie wygląda i nakazał, aby natychmiast jechała do matki. Po południu zadzwoniła do niego i usilnie domagała się spotkania, na co się wreszcie zgodził. Poszli na kawę do restauracji „Bohema” znajdującej się przy szczawieńskim deptaku. Najpierw miała pretensje, że nie chciał po nią przyjechać, kiedy była w potrzebie, a następnie opowiedziała mu, co się wydarzyło. Po prostu facet się jej spodobał i celowo została w samochodzie, aby zaproponować mu wspólne wypicie wina. W hotelu. Facet od razu się zgodził, no więc byli razem aż do rana. W sumie nic się takiego nie stało, więc o co ten cały raban. Tym bardziej, że matka z miejsca poinformowała Bartka, bo zadzwoniła do niego myśląc, że się pogodzili, a więc z Bartkiem, tak czy owak, to już całkowity koniec. Po wysłuchaniu tej kolejnej opowieści o jej sercowych podbojach, powiedział, że coraz bardziej skłania się do sugestii Ryleckiego i Walewskiego, aby ją ze wszystkich spraw powoli wyprowadzić i na przyszłość już jej do niczego nie angażować. Przyjęła to z całkowitym spokojem, wręcz z obojętnością, co trochę go nawet zdumiało. Wyraziła jednak przypuszczenie, że nawet przy takim rozwiązaniu, ich znajomość nie ulegnie jednak całkowitemu zakończeniu. Jak się później okazało, jej spokój był efektem, zawartej za jego plecami, znajomości z jednym z jego kolegów z wydziału we Wrocławiu, który zauroczony jej walorami, naobiecował jej złote góry, żądając jednak całkowitej dyskrecji.

Schodzili szybko po dosyć stromym stoku i gdy znaleźli się na asfaltowej drodze miał w pierwszej chwili wrażenie, że chyba się zgubił, bo nie mógł dostrzec samochodu, który zaparkował przecież tuż przy ścieżce prowadzącej na szczyt. Trochę potrwało zanim zorientował się, że patrzy nie w tym kierunku, a samochód stoi jakieś 60 metrów za jego plecami. Przed uruchomieniem silnika zatelefonował do Magdy, a ponieważ nikt się nie zgłaszał, nagrał na automatycznej sekretarce informację o zaistniałej sytuacji i że do domu wróci raczej późno.

Gdy zjeżdżali wąskimi serpentynami Bazylia milczała, a on zastanawiał się nad słowami Meryla, a zwłaszcza tego nakazu nie wtrącania się w decyzje podejmowane przez Holendra.

- Chyba się znów poskarżył, że się wtrącam i jego ludziom na ręce patrzę – pomyślał z niechęcią, bo wiedział, że Holender miał u Meryla szczególne względy z uwagi na to, że kiedyś razem byli w ZOMO, a oni zazwyczaj zawsze się wspierali i to niezależnie od zajmowanych później stanowisk lub pełnionych funkcji.

Gdy dojechali do Szczawna, wysadził Bazylię pod domem i jadąc do komendy zastanawiał się, jak tym razem wyglądać będzie ich współpraca z grupą śledczą kierowaną przez Holendra. Doskonale wiedział, bo znali się już dostatecznie długo, że Holender, jak zwykle, przejmie osobiste kierownictwo nad pracą całego wydziału, co nie zawsze przynosiło jednak pożądane efekty. Wynikało to z jakiś przedziwnych przekonań

prawie wszystkich przełożonych, że oni zawsze wiedzą lepiej i widzą dalej niż ich podwładni. Dlatego starzy policjanci doskonale wiedzieli, że szefa należy słuchać, ale robić trzeba swoje, bo i tak każda porażka będzie im przypisana, a sukces służbowemu kierownictwu. Młody narybek, nie mający jeszcze większego doświadczenia, skłonny był słuchać przełożonych, których z racji stosunków służbowych uważał za wyroczenie, co szczególnie widoczne było to w pionach operacyjnych. Drożdż doskonale wiedział, że Żeleźnik na swojej robocie się znał i nie wszystkie wydane dyspozycje wykonywał tak, jak mu je zlecano. Teraz jednak był nieobecny, a zastępujący go Palka, z racji łączących go z Holendrem przyjaznych stosunków, nie był w stanie, tak jak Żeleźnik, ignorować niektórych pomysłów lub poleceń, które uznał za mało dla sprawy przydatne, jeżeli w ogóle nie szkodliwe.

- Trzeba się będzie jakoś dogadać, aby sobie krwi nawzajem nie psuć – postanowił, po dłuższym namyśle, jak ma zareagować na ewentualne próby podporządkowania, z jakich Holender na pewno nie zrezygnuje.

Podjeżdżając pod komendę zauważył oczekującego przy radiowozie Ryleckiego i rozmawiającego nieopodal, z kimś z komendy miejskiej, Walewskiego. Ilość stojących pod budynkiem radiowozów, sugerować mogła, że ekipa dochodzeniowa i kryminalistyczna swoją robotę już zakończyła, co go zdziwiło, zważywszy na czas, jaki upłynął od rozmowy z Merylem. Spojrzał na zegarek i stwierdził, że od pierwszego telefonu upłynęło dopiero półtorej godziny.

Przyjął więc, że zwłoki znaleźli wcześniej niż sugerował Meryl, ale mimo wszystko dziwiło go, że prawdopodobnie wszystkie ekipy są już w komendzie, w czym upewnił się, widząc wchodzących do budynku ludzi z kryminalistyki, targających cały swój sprzęt. Taki widoczek mogły świadczyć tylko o jednym, a mianowicie o tym, że oględziny miejsca przestępstwa zostały zakończone.

- Cześć, widzę, że już po herbacie. Co, macie już sprawcę? – zapytał Ryleckiego.

Zanim ten zdążył cokolwiek powiedzieć, pojawił się lekko przyrumieniony słońcem Walewski, który z rozmachem klepnął go w ramię.

- Co to tak późno, panie naczelniku? – wyraźnie zaakcentował ostatnie dwa słowa, jakby chciał podkreślić trochę żartobliwą, ale nie ukrywaną przyganę – my ty odwalamy najczarniejszą robotę, a pan naczelnik sobie z panienkami nad wodę jeździ, co?

- Bogdan, daj se siana i nie wkurzaj mnie, bo tak już jestem cały w nerwach – zareagował trochę za gwałtownie, zadając sobie pytanie skąd on może o tym, że był z Bazylią, wiedzieć. Zastanowiło to go tym bardziej, że całkiem niedawno przeprowadził z nim męską rozmowę w sprawie, jego zdaniem, niepotrzebnej, a nadmiernej adoracji Bazylii, do której doszło podczas jednego ich spotkania. Stało się to oczywiście z jej inicjatywy, a Walewski szybko uległ mizdrzącej się do niego kobiecie. Postanowił jednak do tematu wrócić w innym terminie, aby nie doszło do niepotrzebnych między nimi zgrzytów. Zakładał, że to właśnie ta ich niedawna rozmowa,

była niewątpliwie przyczyną wyczuwalnej złośliwej ironii, której Walewski nie mógł przy powitaniu poskromić.

Prowadząc rozmowę na temat zaistniałego zdarzenia zastanawiali się co robić dalej, a konkretnie, czy ma z nimi pojechać na miejsce znalezienia zwłok, czy udać się do Holendra, aby uzyskać wszystkie informacje, jakimi jego ludzie na tą chwilę już dysponowali. Po krótkim namyśle zdecydował, że jednak najpierw osobiście obejrzy to miejsce, aby wyrobić sobie własny pogląd na temat tego, co tam zastanie i co mogło się tam wydarzyć. Zdanie jednak były podzielone, bo Walewski uważał, że wystarczy relacja Holendra, do którego przecież trafiały wszelkie uzyskane informacje i ustalenia. Przypomniał jednak sobie słowa Meryla i zdecydował.

- Panowie – zwrócił się do kolegów – jedziemy tam na miejsce, a wy opowiecie mi wszystko, co do tej pory wiecie. Szybko wsiedli do samochodu, a Rylecki wystawił na dach koguta i ruszył ostro z miejsca włączając po chwili sygnał dźwiękowy.

-Andrzej, wyłącz to badziewie, bo zaraz dyżurny będzie nas wywoływał, że używamy sygnałów bez powiadomienia go o tym – zwrócił się do kierującego pojazdem Ryleckiego.

- Niech woła, w dupie to mam. Jest niedziela i nie mam zamiaru marnować czasu, bo nie wiem, czy zauważyłeś, że już się południe zbliża, a ty masz jeszcze coś do zrobienia. Nie myśl, że ci odpuścimy, bo jest zabójstwo – powiedział ze śmiechem.

Uwagą tą nawiązali do ich wcześniejszego ustalenia, że w niedzielne popołudnie udadzą się do klubu NOT na Schmidta, aby rozegrać kilka partyjek w bilarda, podczas których miał im postawić pół litra, jako rekompensatę, za dawno wyświadczoną mu przysługę

- Nie odpuścimy, naczelniku, nie licz na to – potwierdził Walewski.

- Ok, niech wam będzie, ale mówcie wreszcie, co i jak – odpowiedział pojednawczo i zaczął się wsłuchiwać w słowa kolegów.

Ich relacja jednoznacznie wskazywała, że mają do czynienia z ewidentnym zabójstwem na tle seksualnym, a to, jak podpowiadało mu doświadczenie, nie rokowało szybkiego wykrycia sprawcy.

Dziewczyna - Mariola Birecka - której tożsamość została ustalona już w momencie znalezienia zwłok, mieszkała w jedenastokondygnacyjnym bloku w dzielnicy Podzamcze, która wraz graniczącą z nią z Piaskową Górą, tworzyła aglomerację zamieszkałą przez prawie 70 tysięcy mieszkańców, a więc więcej niż w pozostałej części 120 - tysięcznego Wałbrzycha. Z relacji przedstawionej przez Ryleckiego wynikało, że w dniu wczorajszym, po południu, wyszła z mieszkania, zabierając ze sobą swojego ulubionego pieska. Następnie spotkała się z jakąś koleżanką, z którą się szybko rozstała, udając się w kierunku pobliskich łąk, aby narwać kwiatów, którymi chciała przystroić swój pokój. Koleżanka widziała Birecką, idącą w stronę kompleksu leśnego będącego częścią Książańskiego Parku Krajobrazowego, oddzielającego Podzamcze od Książa. Wieczorem, rodzice zaniepokojeni przedłużającą się nieobecnością

dziewczyny, rozpoczęli jej poszukiwania, do których po jakimś czasie włączyli się też bliżsi i dalsi sąsiedzi oraz jej chłopak, mieszkający w pobliskich Świebodzicach. Intensywne poszukiwanie zakończyły się niepowodzeniem i rodzice fakt zaginięcia córki zgłosili dyżurnemu komisariatu I na Piaskowej Górze. Jednakże przekazana informacja została przez dyżurnego zlekceważona, a jego reakcja ograniczyła się do rady, aby w przypadku przedłużającej się nieobecności córki, zgłosili to w komendzie miejskiej, bo według niego, z takimi sprawami tam się należy zwracać.

Dalsze poszukiwania – relacjonował beznamytnie i bez zbędnych szczegółów Rylecki - rodzice rozpoczęli od rana dnia następnego, ale już z udziałem funkcjonariuszy policji, których do akcji skierował osobiście Holender, który zarządził poszukiwania dziewczyny, telefonicznie powiadomiony o zdarzeniu przez swojego znajomego, będącego jednocześnie znajomym rodziców Marioli.

Po dwóch lub trzech godzinach bezowocnych poszukiwań, przyłączył się do nich, wraz z członkami swojej rodziny i przyjaciółmi, chłopak Marioli i to właśnie on, jako pierwszy, natknął się na jej pieska, błakającego się pomiędzy drzewami parku. Po krótkiej chwili, w pobliżu tego miejsca znalazł też zwłoki dziewczyny. Ciało znajdowało się na wąskiej ścieżce biegnącej poprzez sporej wielkości kępę gęsto rosnących w tym miejscu krzewów i drzew. Przykryte było sporą ilością nałamanych gałęzi, co naturalnie mógł zrobić jedynie sprawca zabójstwa.

Po usunięciu gałęzi, policjanci ujrzeli obnażone w dolnej części zwłoki dziewczyny, z zaciśniętą na szyi pętlą wykonaną ze smyczy, jaką – jak to później ustalono – dziewczyna miała przy sobie. Z głowy, wyraźnie odchylonej w lewą stronę tak, że broda dotykała lewego obojczyka, wypływał zakrzepły już strumień krwi. Sprawca musiał jej zadać kilka ciosów w głowę kamieniem, który ujawniono tuż przy zwłokach, a ciosy musiały mieć znaczną siłę, na co wskazywało zagłębienie w gliniastym podłożu ścieżki, znajdującym się pod głową ofiary. Po przybyciu na miejsce Rylecki wskazał mu miejsce gdzie zostały znalezione zwłoki dziewczyny i zaczęli jeszcze raz analizować ślady, jakie można było zauważyć zarówno na samej ścieżce, jak i przyległej do kompleksu leśnego łące. Ślady te jednoznacznie sugerowały, że sprawca na tej łące zaatakował dziewczynę i musiała ona stoczyć z nim zacieklą walkę, na co wskazywały szerokie, o kolistym kształcie, wygniecenia wysokiej w tym miejscu trawy. Łatwo można się było domyśleć, że po obezwładnieniu, ofiara została zaciągnięta za ręce na leśną ścieżkę, gdzie następnie została pozbawiona życia, po czym ciało przykryto nazrywanyymi chaotycznie gałęziami. Ślady ciągnięcia i jeden z sandałków znaleziony w tym miejscu, jednoznacznie potwierdzały taki, a nie inny przebieg wydarzeń.

- Prawdopodobnie to tu, na tej łące – Rylecki wskazał na wygniecioną trawę - tuż po obezwładnieniu, została zgwałcona. Technicy z miejskiej zabezpieczyli wszystkie ślady, a chłopaki z kryminalnego przepytali, kogo tylko dało się ustalić.

- Czy wszystkie akurat, to ja mam wielkie wątpliwości – odezwał się nagle, milczący do tej chwili Walewski, wskazując na leżące w pobliskich krzakach wieczko od pudełka po papierosach marki Astra.

Drożdź podszedł we wskazane miejsce i bardzo ostrożnie, aby nie pozostawić lub zniszczyć ewentualnych śladów, podniósł wieczko na wysokość oczu i uważnie obejrzał je ze wszystkich stron. Nie trudno było dostrzec, że po jednej stronie fragmentu opakowania znajdowało się kilka brunatnych punkcików, które mogły być śladami zakrzepłej krwi.

- Zobaczcie, co tu jest – odezwał się niespodziewanie dla samego siebie lekko podekscytowanym głosem – bo według mnie, to mogą być ślady krwi. Dziwne, że to tu leżało i nikt nie zauważył.

- Mnie też to na krew wygląda i faktycznie musieli się bardzo śpieszyć, że tego nikt nie dojrzał – podekscytowany swoim odkryciem Walewski nie starał się ukryć zadowolenia z ujawnionego niespodziewanie znaleziska i spoglądając na trzymany w ręku kawałek tekturki gwizdnął ze zdziwienia.

- No to będą mieli niezły pasztet, jak im to zaniemiemy – dodał rozglądając się uważnie dookoła, jakby spodziewał się jeszcze innych tego typu rewelacji. To, co znalazł w pobliżu miejsca, gdzie dziewczyna została zamordowana, wzbudziło ich najwyższe zdumienie, albowiem miejsce to było przecież polem nadzwyczaj szczegółowych oględzin kryminalistycznych i procesowych, dokonywanych przez liczną grupę wyspecjalizowanych fachowców. Takie przypadki nie miały prawa się zdarzać.

- Połóż to na tym samym miejscu i oznacz czymś – polecił mu Drożdź – i rozejrzyjmy się trochę wkoło, może jeszcze coś znajdziemy, a jak znajdziemy, to trzeba będzie dzwonić do Holendra, aby technicy łaskawie pofatygowali się tu jeszcze raz.

- Ok, ja idę w stronę osiedla, ty idź tam w kierunku tego budynku, a Bogdan niech się rozejrzy po tych krzakach – Rylecki mówiąc to, pochylił się nagle i wskazał ręką na sporej wielkości kamień z wyraźnymi śladami krwi, leżący obok ścieżki i przysłonięty kilkoma tylko gałęziami, użytymi prawdopodobnie wcześniej do przykrycia zwłok i odrzuconymi na bok przez kogoś, kto odkrywał ciało dziewczyny.

- O, kurwa – wyrwało mu się głośno, – co oni tu robili, że takie coś przepuścili – nie mogło mu się zmieścić w głowie, że takie kardynalne błędy popełnić mogli ludzie z ekipy kryminalistycznej i ktoś, kto tymi oględzinami kierował. Takie niedoróbki zdarzały się naprawdę wyjątkowo rzadko i zawsze miały przykre konsekwencje dla tych, którzy się tego dopuścili.

-To aż wydaje się niemożliwe, aby tego nie dostrzec i nie zabezpieczyć – kontynuował zdumionym głosem Rylecki.

- Andrzej, przecież mówiłeś, że kamień, którym ona została uderzona w głowę został zabezpieczony – odezwał się też wyraźnie zaintrygowany Drożdź - chyba, że sprawca

użył dwóch kamieni, albo było dwóch sprawców. Coś tu nie gra i musimy jak najszybciej skontaktować się z Holendrem.

Zastanawiał się, co zrobić? Czy najpierw zadzwonić do Meryla i poinformować go o tych znaleziskach, no i przede wszystkim zapytać się, czy w dalszym ciągu ma się nie wtrącać do prowadzonych tu czynności, czy też szybko uruchomić Holendra, aby znalezione przedmioty procesowo zabezpieczyć i udokumentować. W pierwszej chwili przeważała opcja pierwsza, bo mógłby z miejsca Merylowi wytknąć przedwczesne i niczym nie uzasadnione jego wcześniejsze decyzje, dotyczące jego roli w prowadzonych czynnościach. Po krótkiej chwili zastanowienia, postanowił jednak zrezygnować z niewątpliwej satysfakcji, ponieważ zdawał sobie sprawę, jak emocjonalnie zareagować może Meryl, który na pewno nie omieszka z miejsca zawiadomić komendanta wojewódzkiego. I żał mu się zrobiło Holendra, który mimo wszystkich swoich denerwujących go słabostek, był jednak jego kolegą i takiego świństwa nie mógł mu wyciąć. Z zamyślenia wyrwał go podenerwowany głos Walewskiego, który pomstował na techników z komendy, jako bezpośrednich sprawców bałaganu, jaki musiał zapewne panować tu w chwili prowadzenia oględzin.

- Kurwa, jak tu można na nich polegać, to się nie mieści w głowie – denerwował się Walewski – Zyga, dzwoni do tego Holendra i powiedz mu, co my tu znaleźliśmy. Na pewno również będzie mocno zdziwiony.

- Poczekaj, jeszcze trochę tu powęszmy i później zadzwonię, bo coś mi się widzi, że możemy jeszcze nie jedno tu znaleźć – zdawał sobie sprawę z wagi ich odkryć i z awantury, jaką swoimi znaleziskami wywołają w komendzie. Dla Holendra będzie to mocny cios, bo chociaż przy oględzinach go nie było, to jednak to on ponosić będzie odpowiedzialność za tak niebывałe zdarzenia. Przecież wielokrotnie, również w obecności Holendra, zwracał uwagę na dostrzeżone braki w profesjonalnym zabezpieczeniu miejsc popełnienia przestępstwa, jakie się zdarzały ekipom z komendy miejskiej. Jak widać, jego spostrzeżenia trafiały w próżnię, bo zapewne z uwagi na ambicjonalne zaciętrzewienie, nie były brane pod uwagę.

Rozmyślając tak nad różnymi zaszłościami, penetrował jednocześnie okolice miejsca znalezienia zwłok i wraz z towarzyszącymi mu kolegami, wolno przemieszczał się w kierunku widocznych już wysokich budynków Podzamcza.

W pewnym momencie ze zdumieniem zauważyli w wysokiej trawie wydeptaną ścieżkę, a pochylenie trawy wskazywało, że ktoś bardzo niedawno, z miejsca zabójstwa, szedł w kierunku Podzamcza.

- Panowie – odezwał się z wyraźnie wyczuwalną irytacją - wy byliście tu z ekipą, więc może powiecie mi, kto chodził w tym kierunku? Czy to jest ślad sprawcy, czy może kogoś z chłopaków?

- Wiesz co – przykucnięty Rylecki uważnie przyglądał się połamanym łodygom trawy – oni tu nie chodzili. Ta ścieżka prowadzi chyba do samego Podzamcza, a nie widziałem,

aby ktoś z miejskiej, bo i niby po co, tam chodził. Wydaje mi się, że oni ograniczyli się jedynie do tamtego miejsca, w którym została zaatakowana i tej ścieżki, gdzie leżały zwłoki. A jak znaleźli ten kamień i buta, to takie było tu podniecanie, że chyba uznali, że mają już wszystko. I jak przyjechało czarne pogotowie – posłużył się popularnie używanym określeniem samochodu miejskiego zakładu pogrzebowego – to zaraz zawinęli ogony i pojechali do komendy.

- Nie chyba, a na pewno – potwierdził jego przepuszczenia Walewski.

- Tu się zważyła taka gromada ludzi, że aż było przykro patrzeć, że nikt nad tym nie panował. Dopiero, jak odjechał Holender z prokuratorem, to się reszta towarzystwa zaraz wyniosła, a na miejscu zostali technicy i dwaj dochodzeniowcy. Ale oni tak daleko się nie zapuszczali – dokończył stanowczo.

- A ty skąd o tym wiesz?

- A stąd, że jak tamci pojechali, to o nich zapomnieli i musieli przez radio wołać pomocy, aby ich ktoś z całym tym majdanem zabrał. To się po nich kopnąłem i pogadałem sobie po drodze. Widziałeś ich, jak się wyładowywali, gdy przyjechałeś pod komendę.

- To po co w ogóle odjeżdżaliście, trzeba było zostać z tymi z dochodzeniówki tam na miejscu. Mogłeś się domyśleć, że ja tu na pewno przyjadę. Znasz mnie przecież – zirytowany Drożdż miał ochotę trochę się nad kolegą poznać, ale widząc jego minę, odpuścił.

- Wiesz, tu był taki zamęt, bo każdy rwał się do szukania świadków, Holender rozgadał się przez telefon z prokuratorem, a Palka w pierwszej chwili nie był w stanie tego rozgardiaszu opanować, bo ludzie nie wiedzieli, kogo słuchać. Jego czy Holendra - Walewski tłumacząc nie był w stanie ukryć swego zmieszania.

- Ale jak pojawił się prokurator, to Holender odpuścił i Palka trochę to jednak opanował – uzupełnił informację Rylecki, chcąc najwyraźniej bronić Palkę, którego wysiłki obserwował i współczuł mu, widząc, jak Holender zamiast opanować rozgardiasz, sam go nieświadomie potęgował.

- A pojechaliśmy pod komendę, bo przecież mówiłeś, że zaraz przyjedziesz – dorzucił usprawiedliwiająco Walewski.

- Ok, nie ma sprawy – zakończył rozmowę – szukamy dalej.

Powoli przemieszczali się w kierunku osiedla, do widocznej kępy wysokich drzew. Wydeptana w trawie ścieżka jednoznacznie wskazywała, że ktoś niezbyt dawno szedł w tym kierunku, a szedł dokładnie z miejsca, w którym niewątpliwie sprawca stoczył walkę z ofiarą. Mógł to być ten człowiek, ale też mogła to być zupełnie inna osoba, lub przypadkowe osoby mieszkające na terenie Podzamcza, udające się w te okolice na sobotnio-niedzielne spacer. Po kilkunastu minutach penetrowania wydeptanego w trawie śladu, doszli do niewielkiego zagajnika, a raczej kępy wysokich i niezbyt gęsto rosnących drzew, gdzie ślad ten nagle się kończył. Powoli rozeszli się między drzewami, wpatrując się intensywnie w ziemię i teren wokół siebie. Po chwili pierwszy odezwał się

Walewski, który w tym dniu miał jakieś wyjątkowe szczęście, spowodowane prawdopodobnie szczególną koncentracją uwagi.

- Panowie, coś mam – jego głos, kolejny już raz, wskazywał na lekką ekscytację – ooo ... w mordę... to jest zakrwawione – krzyknął i ostrożnie, dwoma palcami podniósł coś, co przypominało zmięte opakowanie od papierosów.

Drożdź i Rylecki szybko podeszli do niego, aby obejrzeć kolejne znalezisko, które być może miało, lub mogło mieć, jakiś związek ze sprawcą zabójstwa. To, co Walewski trzymał w ręku było, bowiem opakowaniem papierosów Astra, takich samych, jak wieczko pudełka, które znaleźli w miejscu dokonania zabójstwa. Po dokładniejszym przyjrzeniu się można było zauważyć kilka brunatno-brązowych plamek, mogących być śladami z krwi.

- Zobaczcie – Walewski podsunął im pudełko pod oczy – to może być krew. No nie, to jest na pewno krew – stwierdził zdecydowanie po dokładniejszym oglądzie trzymany resztek opakowania.

- Zobaczcie, wieczko jest urwane, a marka taka sama – tym razem Rylecki ze zdziwieniem przyglądał się porozrywanemu opakowaniu po papierosach - można by pomyśleć, że ktoś nam jakieś kawały robi.

- Wiecie panowie co? – głos Drożdża wyrażał najwyższe zdumienie i niedowierzenie – Aż mi się w to nie chce wierzyć. To nie może być, aby na miejscu zabójstwa, po odjeździe ekipy, można było znajdować tyle przedmiotów, mogących mieć ... mających na pewno – poprawił się – związek z tym zabójstwem. To mi się naprawdę w głowie nie mieści.

- Lepsze rzeczy widziałem – mruknął pod nosem Rylecki – a niejedno jeszcze zobaczysz – dodał już głośniejsz.

- A pamiętasz zabójstwo księdza – odezwał się Walewski, – jakie cyrki odstawiła dochodzeniówka? Wszystko na tym świecie, a w tej firmie zwłaszcza, jest możliwe.

Tak, pamiętał. Doskonale pamiętał zabójstwo księdza sprzed kilku laty, gdzie dokonująca oględzin ekipa z dawnej komendy wojewódzkiej w Wałbrzychu, pracująca przez trzy dni non stop na trzy zmiany, wypita w tym czasie cały zapas alkoholu zgromadzonego przez proboszcza, zamordowanego na terenie plebani. Po zakończeniu tych oględzin okazało się, że kierowana przez niego grupa operacyjna, nie dysponowała żadnym śladem mogącym pochodzić od sprawców. Mało tego. Okazało się, że nie zabezpieczono żadnych śladów pochodzących od samego lokatora, czyli księdza proboszcza. W rezultacie, mimo że operacyjnie ustalili wszystkich sprawców napadu i zabójstwa, nie dysponowali żadnym materiałem dowodowym i sprawa musiała się zakończyć umorzeniem, właśnie z uwagi na nie ustalenia tychże sprawców. Ta porażka nie dawała mu spokoju i cały czas wierzył, że kiedyś uda mu się ją zakończyć sukcesem. Wiedzieli przecież, kto i z jakich powodów księdza zabił, ale to było dla prokuratury za mało, aby zezwolić na zatrzymanie i postawienie im zarzutów. A na

drukowanie sprawcy – jak w swoim żargonie określali znalezienie odpowiedniego człowieka i spreparowanie dowodów jego winy – nigdy w swojej karierze nie chciał się zgodzić. Zresztą w tamtym czasie takie przypadki należały do wyjątkowych i były jednoznacznie rozliczane przez przełożonych i samą prokuraturę, jako złamanie procedur i prawa.

Rozmawiając o sprawie księdza, powoli kręcili się między drzewami, nie wierząc już, że mogliby jeszcze coś znaleźć. Jednakże nie był to koniec ich zaskakujących odkryć, świadczących o tym, że przypadki takie, jakie miały miejsce w trakcie oględzin plebani, nie były w policji czymś całkowicie odosobnionym.

- Panowie – tym razem okrzyk wyrwał się jemu samemu – chodźcie tu, zobaczcie – wskazywał na leżącą pod drzewem jasną chustkę do nosa, z charakterystycznym wzorkiem na obrzeżach, złożonym z małych, granatowych, ale mocno już wyblakłych kratek. Po dokładniejszym przyjrzeniu się niespodziewanemu znalezisku, ujrzeli ślady zaschniętej treści, którą mogła być zarówno wydzielina śluzową z nosa, ale mogła to być też z powodzeniem sperma ludzka, co wydawało się bardzo prawdopodobne, zważywszy na okoliczności ujawnienia tego znaleziska.

- Tak, to może się skończyć, jak z księdzem, dlatego nie gadajmy, a ściągajmy tu techników. Niech się zabiorą wreszcie do roboty – mówiąc to wystukiwał numer telefonu Holendra i po chwili usłyszał jego głos.

- Słucham, Holender przy telefonie.

- Cześć, tu Zygmunt, chłopie, ale żeście jaj narobili. Jak stoisz to usiądź lepiej.

- Jakich jaj, o czym ty mówisz i gdzie w ogóle jesteś? – głos Holendra wykazywał zrozumiałe podenerwowanie wywołane jego wstępną zapowiedzią – miałeś być tu, w komendzie i mi pomagać. Tak mi wyraźnie powiedział Meryl.

- Jestem na miejscu zabójstwa i właśnie nic innemu, jak pomaganiu tobie się nie oddaję – powstrzymał się przed uwagą, że tym pomaganiem może mu raczej zaszkodzić – chłopie, nie wiem, jak to ci powiedzieć, ale twoi technicy spaprali całkowicie te oględziny.

- Jak to spaprali? Mów trochę jaśniej, bo ja nie mam czasu, muszę rozplanować nasze działania. Ciebie nie ma i nie wiem, co mam wam przydzielić. Wiesz, o co chodzi - Holender dał mu wyraźnie do zrozumienia, jak widzi jego przyszłą rolę i miejsce jego grupy w rutynowych działaniach, jakie zawsze wykonywało się w pierwszych godzinach od ujawnienia zwłok.

- Jak na razie, to ty zorganizuj grupę techników, bo chyba już poszli do domu i daj tu kogoś z dochodzeniówki i niech się biegusiem tu, na miejscu zameldują.

- Zygmunt, posłuchaj, sprawa jest prosta. Ja kieruję działaniami, więc ty mi się tu nie staraj wprowadzać swoich porządków, rozumiesz, o co mi chodzi?

Holender jeszcze raz wyraźnie dał mu do zrozumienia, że jego rola sprowadza się do wykonywania wydanych mu poleceń i nie ma zamiaru traktować go inaczej, niż traktuje

innych swoich podwładnych. Ten tak stanowczy i pewny siebie głos Holendra wywołał w nim natychmiastową chęć utemperowania rozmówcy i ustawienia na właściwej pozycji. Jak w boksterskim narożniku, tuż przed zadaniem dotkliwego ciosu.

- To ty mnie posłuchaj Jareczku – mówił bardzo spokojnie, rozdzielając wyraźnie poszczególne słowa, jakby chciał podkreślić ich szczególną wagę – twoi ludzie dali taką plamę, że nie pozostaje mi nic innego, jak natychmiast dzwonić do Meryla z prośbą o przysłanie ekipy kryminalistycznej z wojewódzkiej. Byłeś na miejscu? Byłeś. I co, nie potrafiłeś dopilnować, aby przeprowadzić uczciwe oględziny? Śpieszyło się wam gdzieś szczególnie?

Celowo nie mówił mu dokładnie, o co właściwie chodzi, aby go przed przekazaniem informacji odpowiednio zmiękczyć. Zaistniała sytuacja dawała mu istotną przewagę, neutralizującą polecenia Meryla w sprawie ich wzajemnych relacji i zamierzał to bezwzględnie wykorzystać.

- Kurwa, mów wreszcie, o co chodzi – wykrzyczał do słuchawki wyraźnie już zdenerwowany Holender, – po co ci technicy, oni przecież już zakończyli oględziny. Sam widziałem jak wrócili z terenu.

- I co, nie zdziwiło cię, że tak szybko. Nie spytałeś się, co i gdzie zabezpieczyli? - drażnił się dalej.

- No, nie – Holender trochę się zawahał, ale szybko odzyskał równowagę – nie pytałem się, bo miał to zrobić Karłowicz i zaraz mi całe materiały mają przekazać do wglądu.

Na wszelki wypadek, Holender sprawnie przerzucił odpowiedzialność na Zbigniewa Karłowicza z dochodzeniówki, który formalnie był odpowiedzialny za pracę policyjnej ekipy na miejscu zbrodni. Zrobił to automatycznie, ale Drożdż, znający dobrze Holendra, z miejsca zwrócił uwagę na ten cwany asekuracyjny wybieg.

- To niech ci nic nie przekazują, tylko zabierz się z nimi i przyjedź tu.

- Powiesz mi wreszcie, o co ci chodzi – ponownie zdenerwował się Holender, – bo tak gadasz, jakbyś mi tego powiedzieć nie chciał.

- Ok. Powiem. Już ci mówię – trochę się z nim droczył, wyobrażając sobie jego rosnące zdenerwowanie.

- Po pierwsze znalazłem tu ślady pochodzące prawdopodobnie od sprawcy. Mało tego, one mogą na niego bezpośrednio wskazywać.....

- Co? Co ty mówisz? – Holender, bardzo już mocno zdenerwowany, przerwał mu w pół słowa, – przecież tam było czterech techników i dwóch dochodzeniowców. Coś ty tam mógł znaleźć i skąd wiesz, że to ma związek z zabójstwem?

Słyszając te wątpliwości, zresztą chyba uzasadnione, w kilku zwięzłych zdaniach opowiedział o ujawnionych znaleziskach i ich ewentualnym znaczeniu dla przyszłego śledztwa, a także ewentualnych konsekwencji ujawnienia przez niego tych faktów.

- Mało ci? – zapytał z wyczuwalną satysfakcją.

- Kurwa mać, to nie możliwe – zaklął Holender, wyraźnie załamany informacjami, jakie przed chwilą zostały mu przekazane – przecież oni kamień ze śladami krwi zabezpieczyli i z tego, co wiem, jest on tu, w komendzie.

- No to jest drugi – krótko skomentował Drożdż - więc, albo organizuj grupę i wal tu z szybkością światła, albo ja organizuję grupę kryminalistyczną z wojewódzkiej – celowo sygnalizował przejęcie inicjatywy, zdając sobie doskonale sprawę, że ma w garści nie tylko Holendra, ale i Meryla, który według niego, zbyt pochopnie nakazał mu podporządkowanie się Holendrowi i nie ingerowanie w działania podejmowane przez jego ludzi.

- W porządku, już jedziemy, tylko jakoś to zabezpieczcie, żeby nic nie zniszczyć – Holender rozpaczliwie starał się ponownie przechwycić inicjatywę, ale Drożdż nie dał mu na to żadnej na to szansy.

- Nie ucz mnie dzieci robić, a i korzystaj z doświadczeń bardziej doświadczonych, to i się sam wiele nauczysz. Zbieraj się, bo czekamy – uciął krótko i wyłączył telefon, nie dając Holendrowi dojść ponownie do głosu.

- Noo, to dałeś mu popalić – Rylecki pokiwał ze zrozumieniem głową – już widzę jego minę.

- A może jednak zadzwoni do Meryla – odpowiedział mu Walewski, – bo jak go znam, to on zaraz zadzwoni do niego i tak namiesza, że to my na buraków wyjdziemy.

- Spoko, nie zadzwoni, to zbyt poważna sprawa, a my, jak na razie trzymamy asy – uspokoił go i nagle sobie coś uprzytomniwszy, zwrócił się do Ryleckiego – Andrzej, zobacz czy masz w bagażniku kamerę i weźcie to wszystko nakręćcie, zanim oni tu przyjadą. Na wszelki wypadek. Zrobimy to tak, jakbyśmy sami dokumentowali nasze oględziny, tylko nie bierzcie już do łap tych rzeczy. A... - przypomniał sobie – i rozejrzyjmy się za jakimiś niedopałkami. Musiał tu palić, jeżeli pudełko wyrzucił. Może będziemy mieli ślady na DNA.

- Rozumiem, masz rację – uśmiechnął się Rylecki i razem z Walewskim udał się po kamerę do stojącego jakieś kilkadziesiąt metrów dalej samochodu. Na odchodnym rzucił, niby od niechcienia, w stronę zamyślnego Drożdża – Tylko nie wyjeżdżaj mu, że myśmy to sfilmowali. Ok? Zatrzymajmy to dla siebie, tak na wszelki wypadek.

- Chyba masz rację. Dobra, nic mu nie powiem i przekaz to Bogdanowi – wskazał na oddalającego się w kierunku samochodu Wawelskiego.

Po upływie około pół godziny, co wystarczyło im na sfilmowanie i prowizoryczne oznaczenie ujawnionych śladów, przybyła grupa dochodzeniowców i techników kryminalistyki, wśród których nie było jednak Holendra. Szybko okazało się, że byli to dochodzeniowcy z komisariatu z Piaskowej Góry, którzy nie mogli uwierzyć, że to, co odkrył zespół Drożdża, nastąpiło po zakończeniu oględzin przeprowadzonych przez techników i dochodzeniowców z komendy miejskiej. Okazało się, że technicy z komendy miejskiej pojechali już do domów i dlatego to ich, w trybie alarmowym

wysłano tu na miejsce, bo, na swoje nieszczęście oni, jeszcze przebywali w komisariacie.

Rylecki z Walewskim namawiali go, aby natychmiast dzwonił do Holendra i ściągał go tu, na miejsce, ale nie zdecydował się na to, zakładając z dużą dozą prawdopodobieństwa, że była to taka taktyczna zagrywka, pozwalająca Holendrowi na uniknięcie bezpośredniej z nim rozmowy, przed uzyskaniem pełnej wiedzy o znalezisku. Być może liczył na to, że jego ludzie przekażą mu informacje świadczące, że rzeczy znalezione przez grupę Drożdża, nie mają żadnego związku z zabójstwem i są to jedynie jakieś nic nie znaczące śmieci.

Jeżeli jednak tak zakładał, to przeliczył się srodze, bo technicy kryminalistyki z komisariatu, w swojej ocenie byli jednoznaczni. Zabezpieczone przedmioty były bez wątplenia śladami pozostawionymi przez sprawcę lub sprawców i co do tego, nie mieli żadnej wątpliwości. Drugi kamień mógł sugerować, że sprawców było, co najmniej, dwóch. Nie wykluczali też, że mógł zostać zabrudzony krwią zupełnie przypadkowo, na przykład przez nadeptanie podczas łamania gałęzi i przykrywania ciała. Mógł też być użyty po odrzuceniu pierwszego, kiedy na przykład ofiara, mimo wcześniejszych ciosów, okazywała nadal oznaki życia.

Przed przystąpieniem do czynności zabezpieczających, wystąpił problem natury formalnej, polegający na braku jednomyślności, co do sposobu udokumentowania tych niezbędnych, z procesowego punktu widzenia, czynności. Funkcjonariusze przybyli z komisariatu zauważyli, że zgodnie z przepisami powinien zostać sporządzony protokół uzupełniający poprzednio wykonane oględziny, z dokładnym określeniem czasu nowo przeprowadzonych czynności procesowych, oraz z podaniem przyczyn przerwania poprzednich oględzin. Jednakże uznali, że takie ich formalne podejście narażałoby ich kolegów z komendy miejskiej, na poważne kłopoty natury służbowej, jak i procesowej, więc po dosyć krótkiej, ale burzliwej dyskusji podjęli decyzję, że część przednia i końcowa protokołu nie zostanie wypełniona. W ten sposób pozostawili furtkę pozwalającą na zgrabne sporządzenie jednego protokołu oględzin i uniknięcia ustalania, kto i dlaczego takie kardynalne błędy popełnił. Nie oponował, ponieważ już wcześniej takie samo zdanie wyrazili Rylecki z Walewskim, niemający zamiaru, przysparzania komukolwiek niepotrzebnych kłopotów. Nie mniej jednak postanowili porozmawiać z nimi na ten temat, przy najbliższej nadarzającej się okazji, ponieważ sami byli ciekawi, co spowodowało, że ludzie ci tak szybko odstąpili od drobiazgowego przeszukania całego terenu, tak, jak robi się to, szczególnie przy sprawie, gdzie można zakładać dokonanie zabójstwa. A w tym przypadku zabójstwo dziewczyny było ewidentne, nawet dla kompletnego laika.

Po wszelkich niezbędnych ustaleniach, pozostawili techników na miejscu i udali się do komendy, aby o tym, co się wydarzyło porozmawiać z Holendrem i Palką, jak również o tym, jak widzą oni ich dalsze współdziałanie, niezależnie od tego, co wcześniej

Holender uzgodnił z Merylem. Chodziło mu zwłaszcza o określenie obszarów współdziałania, jak i tych, na których nie będą sobie z Holendrem wchodzić w drogę, ponieważ, ani przez chwilę, nie miał zamiaru zastosować się do polecenia Meryla. Tym bardziej po tym, co zobaczył na miejscu zabójstwa. Zdawał sobie sprawę, że, jak to zwykle bywało w przypadku zatrzymania sprawcy, pierś do medalu wystawi kierownictwo komendy, a ci, co włożyli najwięcej pracy i zaangażowania, będą musieli zadowolić się ochłapami. Natomiast w razie niepowodzenia, z miejsca ktoś powie, byłeś tam i coś tam robił? Dlaczego nie miałeś wpływu na realizację sprawy? I zawsze pytanie takie stawiać będzie ten, kto miał najmniej wiedzy, kto, ile i dlaczego ktoś, coś robił. Dlatego, nawet narażając się na kłótnie z Merylem, postanowił robić swoje we własnym zakresie i we własnym stylu. Prawie dziesięcioletni okres wspólnej pracy z Ryleckim i Walewskim dawał mu pewność, że poradzą sobie z tą sprawą samodzielnie i bez żadnego wsparcia ze strony Holendra i Palki. Na tego ostatniego mógł zresztą zawsze liczyć, wiedząc, że Palka niezbyt entuzjastycznie odnosił się do różnych pomysłów Holendra, chociaż nie śmiał tego nigdy zbyt radykalnie okazywać. Poza tym lubili się wzajemnie od dosyć długiego czasu i zawsze, kiedy tylko mogli, byli skorzy do udzielania sobie pomocy, co zresztą Palka musiał trochę przed Holendrem i Żeleźnikiem ukrywać.

Ku swojemu zdziwieniu, ze strony Holendra nie napotkał jednak żadnego większego oporu, co do zaproponowanego przez siebie planu działania, który bez protestu zaakceptował wszystkie jego pomysły. Widać było po nim, że fatalna wpadka z oględzinami, wstrząsnęły nim na tyle, że wolał nie wdawać się już w jakiegokolwiek dyskusje.

Generalnie stanęło więc na tym, że Drożdż ze swoją ekipą zajmą się prześwietleniem życia i kontaktów ofiary, a ludzie Palki penetracją operacyjną całego środowiska przestępczego w mieście, oraz odszukiwaniem i przesłuchiwaniami wszelakich możliwych do ustalenia świadków. Wszystkie zebrane informacje miały być poddane wspólnej ocenie pod koniec każdego dnia działań. Ponadto on wraz z Palką mieli opracować wstępny plan czynności, aby jak najszybciej zaspokoić nadzorcze potrzeby Meryla, co miało im gwarantować, że przez jakiś czas nie będzie się zbyt nachalnie wtrącał do ich czynności.

Po tych dosyć krótkich, ale szczegółowych i przebiegających w nader spokojnej atmosferze rozmowach, obydwa zespoły rozeszły się niespiesznie, aby za 15 minut, niby przypadkowo, spotkać się w nieodległym od komendy „Maratonie”, gdzie już w całkowitym spokoju i dobrej komitywie mogli wypić po kilka kufli żywieckiego piwa, które zawsze łagodziło nawet największe zawodowe spory i żale. Towarzystwo szybko podzieliło się na dwie grupki. Jedna zasiadła przy stolikach znajdujących się w bocznej salce lokalu, natomiast Holender, Palka, Drożdż, Walewski i Rylecki usiedli przy jednym z wolnych stolików znajdujących się na kamiennym tarasie lokalu.

- Wiesz co Zyga, ja nie mogę sobie wyobrazić, jak doszło do takich przeoczeń – Holender powrócił do niedawnych wydarzeń, nie mogąc pogodzić się z tym, że działo się to w sytuacji, za którą, mówiąc szczerze, to on był całkowicie odpowiedzialny.
 - Przecież kazałem się szczegółowo informować, czy wszystko zostało przejrane i udokumentowane. Oni mnie kilka razy zapewniali, że wszystko skrupulatnie obejrzel i zabezpieczyli. Wiesz, o co mi chodzi.
 - Daj już spokój Jarek – chcąc pocieszyć kolegę, poklepał go po kolanie – zamów sobie jeszcze Żywca i rozkoszuj się chwilą spokoju.
 - Nie lubię Żywca, za cienki dla mnie. Wiesz, że piję Warkę Strong – Holender podniósł się z wyplatanego fotela i po chwili wrócił z kuflem piwa w rękę i z widocznym zadowoleniem postawił go na stoliku, chronionym od słońca obszernym parasolem.
 - Ja tam wolę Żywca – skwitował jego słowa Walewski, siedząc w bardzo relaksowej pozycji, z nogami wyrzuconymi daleko przed siebie.
 - Żywiec, to jest to, więc opowiem wam krótką dykteryjkę taką, co może pozwoli Jarkowi uznać, że w sprawie tych oględzin nie musi mieć specjalnie coś sobie do zarzucenia – mówiąc te słowa Drożdż poprawił się w fotelu, jakby szykując się do dłuższej tyrady. Zmartwienie Holendra było tak wyraźne i autentyczne, że postanowił go choć trochę rozweselić, zwłaszcza, że rozmowa o wartości poszczególnych marek piwnych, przypominała mu zdarzenie sprzed kilku lat, które akurat z piwem żywieckim było szczególnie związane.
 - Kiedyś, w jakiejś sprawie o zabójstwo, byliśmy w mieście Żywiec – rozpoczął, upijając co chwilę po małym łyku pieniącego się napoju.
 - Po ulokowaniu się w dosyć obskurnym hoteliku, doszliśmy do wniosku, że "być w Rzymie i nie zobaczyć papieża" to grzech przeokrutny i wybraliśmy się w miasto, aby zaspokoić nasze pragnienie spożycia Żywca w Żywcu. U źródła samego niejako. Jednakowoż, – aby choć trochę rozchmurzyć ciągle zatroskanego Holendra, celowo używał nieco archaicznego stylu narracji, starając się uczynić swoją opowieść bardziej barwną, a tym samym interesującą - okazało się to nie takie proste i tego, tak złąknionego przez nas, trunku nie mogliśmy nigdzie uświadczyc. Na podstawie selekcji optycznej wytypowałem facecika, który na oko wydawał się duszą jakby pokrewną i zapytałem się go grzecznie, gdzie tu w Żywcu można Żywca kupić. Facet bardzo dokładnie opisał nam dalszą marszrutę, a my uskrzydleni jego cennymi wskazówkami ochoczo udaliśmy się we wskazanym kierunku, słusznie, jak się nam wtedy wydawało, zakładając, że już, już za chwilę umoczymy spragnione usta w pieniącym się bursztynowym napoju. Jakież było nasze zdziwienie i śmiech radosny, gdy okazało się, iż w opisanym miejscu znaleźliśmy targowisko, gdzie sprzedaje się żywe świnie i inne wiejskie stworzenia, zwane przez chłopów żywcem.
- Przerwał nagle i nie dając słuchaczom szansy na jakąkolwiek reakcję zapytał:
- I jaki stąd, panie Holender, morał wypływa?

Wywołany nagłym pytaniem spojrział niego z lekkim zdziwieniem, nie bardzo dopatrując się związku pomiędzy fuszerką ludzi z kryminalistyki, a tym, co się kiedyś Drożdżowi w Żywcu przydarzyło. Widać było wyraźnie, że oczekuje raczej na jakieś spuentowanie opowieści, a zwłaszcza wykazanie związku pomiędzy tymi dwoma, tak przecież różnymi, wydarzeniami.

Po chwili milczenia wszystkich współbiesiadników, Drożdż wznosił kufel i z szerokim uśmiechem na twarzy obwieścił:

- Nie wszystko jest takim, jak nas zapewniali, że jest. I dlatego panie Holender, pogromco przestępców tudzież innej swołoczy, nie przejmuj się aż tak bardzo tym, o czym cię technicy zapewniali, bo o tym nikt się nie dowie, więc pij to piwo spokojnie i niech ci będzie na zdrowie – zakończył przypadkowym rymem, co jednak mocno zaakcentował.

- No to może po jeszcze jednym piwku strzelimy, co? - zaproponował Rylecki.

- Jak najbardziej, ale ja stawiam – ochoczo potwierdził już jakby rozweselony Holender - bo dobre piwo, w dobrym towarzystwie, to jest to, co po pracy jest najlepsze. Wicie o co mi chodzi – zakończył kwestię swoim charakterystycznym powiedzonkiem. Wypijając z wolna kolejne kufle piwa przyniesione, przez Ryleckiego, rozmawiali dalej już jedynie o sprawach niemających żadnego związku z zabójstwem dziewczyny i po upływie kolejnej godziny, wyraźnie zrelaksowani rozeszli się do domów, uzgadniając wstępnie godziną spotkania w gabinecie Palki w dniu następnym.